



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Poczekaj pan jeszcze—rzekł Ford.

Z temi słowy wydobył z kieszeni nóż składany i poskoczywszy na tył łódki, gdzie wisiała workowa kotwica, odciął ją jednym uderzeniem ostrza.

— Co pan robisz?—zawołał Gromski.

— Dwanaście kilogramów mniej!—odparł tryumfująco kapitan—ponad stałym łądem torba ta jest nam przecie całkiem niepotrzebną.

— A z powrotem? — zagadnął chłodno Gromski; — wyrzucając kotwicę, uniemożliwiasz pan podróż ponad oceanem.

— Mniejsza o to, jeżeli biegun nie leży wśród wody; zresztą w razie potrzeby możemy ją odszukać.

— W tym labiryncie skał, gdzie żadnych śladów nie pozostawiamy za sobą? — zaśmiał się Gromski; — żartujesz chyba, kapitanie.

Tymczasem aerostat, uwolniony od znacznego ciężaru, wznosił się szybko; ciasny horyzont rozszerzał się przed oczyma naszych żeglarzy, odsłaniając rozległy widok na mające w dali wzgórza.

Właśnie Gromski chciał udać się do maszyny, gdy uczuł, iż palce kapitana wpijają mu się konwulsyjnie w ramię. Odwrócił się; Ford stał przed nim; blade, jak płótno, z kurczowo zaciśniętymi wargami, ze zmarszczoną brwią, z błędnym wzrokiem.

— Co panu jest?—zawołał Gromski, przełknięty tą nagłą zmianą w fizjonomii marynarza.

Wtedy Ford wyciągnął machinalnie rękę, wskazując palcem na południe.



Gromski zaś ze łzami w oczach padł w objęcia wzruszonego do głębi kapitana.



— Ocean! — rzekł bezdźwięcznym głosem. Czy pan nie widzisz?

Z pod widnokregu wychylało się powoli białe pasmo lodów, lśniących niby srebrzysta wstęga, wzdłuż czarnej linii brzegów; ramka ta z początku ledwie dostrzegalna, rozszerzała się, zajmowała coraz większą przestrzeń, rosnąc w niezmiernie morze odwiecznych lodów, którego granice, spowite w brudno-żółtą mgłę, ginęły gdzieś w nieskończoności.

Myliłby się ktoś, sądząc, że widok tej nowej przeszkody, niszczącej cały gmach hipotez geograficznych złamał energię naszych żeglarzy. Pierwsze przygnębiające wrażenie nie trwało długo. Ford po chwili odzyskał zimną krew; sternik zaś ulżył sobie całym szeregiem dosadnych przekleństw marynarskich, posłanych pod adresem „dyabła lodowego.” Gromski nie należał nigdy do wierzących w istnienie wielkiego kontynentu południowego; nie doznał więc zawodu. Zrozumiał, iż w danych warunkach dalsza podróż była niemożliwą. Aerostat, popychany siłą swej śruby, mknął szybko ku wybrzeżom Polarnego oceanu, opadał jednak z każdą chwilą. W piętnaście minut po wyrzuceniu przez Forda kotwicy workowej, unosił się o 15 metrów zaledwie ponad łagodnie pochyloną ku morzu równiną.

— Tu będzie kres naszej podróży — rzekł Gromski zamykając szyber od generatora.

Machina pozbawiona pary, umilkła nagle; rozpędzony aerostat posuwał się wszakże naprzód, dotykając prawie zasp topniejącego śniegu.

— Wyrzuć guide rope z kotwicą! — zawołał inżynier, zwracając się do sternika.

Lecz James potrząsnął przecząco głową.

— Stanąc o czterdzieści kilometrów od bieguną? Za nic w świecie proszę pana!

— Trudno mój stary; widzisz sam, że balon odmówił nam usług.

— Jest jeszcze na to rada.

— Jaka?

— Ot, taka!

I dzielny marynarz, przesadziwszy szybko obie nogi za poręcz, wyskoczył z łódki wprzód, nim towarzysze zdolałi go powstrzymać.

## XI.

### NA KRAŃCU ŚWIATA.

Głośny James Cook, zapuściwszy się w 1772 roku na dalekie południe, pierwszy dostrzegł wśród nieprzebytych zwałów lodowych wyniosłe czarne skały nieznanego jakiegos łądu. Daremnie jednak usiłował doń się przedrzeć; płynąc wzdłuż niedostępnych wybrzeży, przyszedł do przekonania, iż są one prawdopodobnie częścią wielkiego łądu szóstej części świata.

Przez długi czas po Cook'u nikt nie zwiedzał tych zasnadłych zakątków naszego planety; dopiero w czterdzieści dziewięć lat potem Powell i Palmer, płynąc na południe od przylądka Horn, odkryli aż do 62° szerokości łąd, który nazwali „Ziemią Trójcy” (Trynity) i „Ziemią Palmera.”

Równocześnie prawie, bo w 1819—21 roku, Bellingshausen, precyzyjnie się wpośród niezliczonych gór lodowych, zalegających południowy kraniec Atlantyku, natrafił na dwie wyspy o dzikim wyglądzie, które ochrzcił imionami Aleksandra i Piotra.

W ślad za nim szkocki wielorybnik Wedell, przedarłszy się zuchwale przez wał lodowy, odkrył leżącą pomiędzy 30 a 50-tym stopniem długości zachodniej Ziemi Jerzego IV-go, która podobno roi się pactwem morskiem i ssakami ziemnowodnymi. Odtąd wyprawy naukowe na Lodowaty ocean Południowy następowały jedna po drugiej; niestety, dzielni żeglarze, zapuszczając się po za koło biegunowe, natrafiali zawsze na potężne zatory lodowe, przed którymi musieli się cofać.

Jeżeli weźmiemy przed siebie mapę południowej półkuli i przypatrzymy się uważnie przerywanej linii brzegów, którą zaznaczyli rozmaici żeglarze, to mimowoli nasunie się nam przypuszczenie, iż ogranicza ona wielki kontynent południowy, rozciągający się dokoła bieguną.

Zacznijmy od przylądka Horn, posuwając się na wschód. Najprzód pod 62° szerokości, na południe od niego, leży najdalej wysunięta ku równikowi Ziemia Grahama z przyległymi wyspami Biscoe, Adelaidą i Joinville. Za wschodni kraniec tego łądu uważaną jest odkryta w 1838 r. przez Dumont d'Urville'a Ziemia Ludwika Filipa. Na południowy zachód od niej wyurza się z oceanu, widziana przez wspomnianego Bellingshausena Wyspa Aleksandra i wysoki Łąd Piotra. Dalej ku wschodowi, podług zapewnień innych żeglarzy, jest tylko woda i odwieczny mur lodowy. Dopiero na południowej granicy oceanu Indyjskiego od 90 stopnia długości, pod kołem biegunowym Dumont d'Urville w 1838—40 roku, Biscoe w 1831, Balleny w 1839 r. i Wilkes w 1839—40 oznaczyli długie, poszarpane zatokami i zatarasowane olbrzymimi lodowiskami wybrzeża, będące prawdopodobnie łańcuchem wysp. Na mapie noszą one miano Ziemi Wilkego; oddzielne ich części nazwano: „Ziemią Termination” (Zakończenia), Ziemią Knoxa, Rodda, Sabryny, Klary, Adeli, wyspami Rangold-Knoll i Balleny. James Ross, dzielny poszukiwacz przejścia północno zachodniego, w lutym 1841 roku nieustraszenie torując sobie drogę przez niezliczone wały i góry lodowe, zalegające niedostępny ocean Antarktyczny, zdołał dotrzeć dalej aniżeli jego poprzednicy, bo aż do 78° 10' szerokości południowej. Zuchwały marynarz odkrył pomiędzy 70 a 80° dzikie, wysokie i pokryte śniegiem brzegi, na których wznoszą się dwa czynne wulkany „Erebus i Terror” oraz mnóstwo innych szczytów górskich.

Łąd ten, ochrzczony mianem Wiktorji, na cześć królowej angielskiej, jest najbardziej cofniętym ku biegunowi krańcem czwartego kontynentu.

W istnienie antarktycznego łądu wierzy znaczna większość geografów. Petermann, znany badacz stref polarnych, oblicza, iż tajemniczy kontynent zajmuje olbrzymią przestrzeń 390 tysięcy mil kwadratowych; inni twierdzą, iż dostrzegane przez rozmaitych żeglarzy wybrzeża należą do łańcucha wysp, otaczających biegun południowy.

We współczesnej geografji jest to kwestya sporna, której zwykłemi sposobami niepodobna rozstrzygnąć. Wszyscy żeglarze wyżej wymienieni, poczynając od Cooka, a kończąc na Nares'ie, który niedawno zapuszczał się na południe, twierdzą jednogłośnie, iż ocean Antarktyczny jest daleko bardziej nieprzystępny od Arktycznego.

Gulf Stream — ta olbrzymia, ciepła rzeka oceanowa, nie przenika jego wód; to też dokoła hipotetycznego łądu południowego piętrzą się takie zawały i zatory lodowe, iż rzadko tylko jaki zuchwalec zdoła przebić sobie w nich kilkunastomilowe przejście; ostatecznie, prędzej czy później, cofnąć się musi w obec nienaruszonego od wieków muru, który, niby naturalna twierdza, broni tajemniczego bieguną przed ludzką ciekawością. Ziemie, leżące pomiędzy biegunem północnym a stałym lądem Ameryki, nieraz już przebiegane były na saniach lub łyżwach przez rozmaite wyprawy; zdołano dotrzeć nawet do wnętrza Grenlandji, tej olbrzymiej wyspy, która, jak niektórzy przypuszczają, sięga aż do bieguną; żadne jednak sanie, żadna ludzka istota nie wdarła się w głąb tajemniczego Antarktycznego łądu; niewyjaśniona zagadka okrywa te czarne skały, spoczywające poza wałem lodowisk, nigdy, jak się zdaje, nie topniejących. Zaniechano też oddawna darennych usiłowań: od czasu Moora w 1845 r. i Naresa w 71 r. żadna prawa naukowa nie zapuszczała się na niegościmne morza południa, tylko wielorybnicy gnani chęcią zysku, rok rocznie z narażeniem życia torują sobie drogę wśród gór i pól lodowych, aby wziąć daninę z krwi fok, słońi morskich, wielorybów, potłiszów i morsów, zamieszkujących tłumnie ten zakątek świata.

Przynoszone przez nich wieści o niezwykłych zatorach, nieskończonych lodowiskach, otaczają mgłą fanta-



styczności i cudowności ten ład, który długo jeszcze będzie sobie żartował z najwytrwalszych bojowników w imię nauki. \*)

Tylko taki cudowny niemal wynalazek, jak kierowany dowolnie aerostat, mógł pokonać te, nieprzebyte zwykłą drogą morską przeszkody.

Przy pomocy statku powietrznego naszym bohaterom udało się zdjąć choć w części nieprzeniknioną dotąd zasłonę, po za którą natura ukryła szóstą część świata; podczas swego błyskawicznego lotu przekonali się oni, iż na południowy wschód od ziemi Grahama, wbrew przypuszczeniom niektórych geografów, nie ma aż do 78° szerokości żadnego lądu; zaczyna się on dopiero znacznie dalej na wschód i południe. Wiadomo nam, iż wygląd jego odpowiada dość dokładnie pojęciu, jakie wyrobiono sobie z opowiadań nielicznych odkrywców i wielorybników, zwiedzających dalekie południe.

Kapitan Ford wierzył niewzruszenie, aż do ostatniej chwili, w istnienie wielkiego kontynentu i spodziewał się, iż dotknie suchą stopą bieguna południowego. Gromski, chociaż wątpił cokolwiek, żywił również podobne nadzieje. To też nagły widok oceanu, rozpościerającego się przed oczyma naszych żeglarzy wtedy, gdy byli już pewni zwycięstwa—stanowił dla nich przykrą niespodziankę.

Ford zrozumiał odrazu, iż niepodobna bez łódki odkryć bieguna tak, jak to zwykle pojmują marynarze. Balon pomimo swych nieocenionych przymiotów, nie mógł, zwłaszcza po stracie kotwicy workowej, zatrzymać się na dłużej w punkcie, gdzie przecinają się wszystkie południki.

Scisła obserwacja zatem, lub pozostawienie choćby kamiennego kopca, stało się niedościgłym pragnieniem. Poświęcenie dzielnego sternika nie przyniosło żadnej korzyści jego towarzyszom; aerostat bowiem, uczuwszy się lżejszym o całe 70 kilogramów, podskoczył gwałtownie do 2300 metrów. W wysokościach tych panowała tak niska temperatura, iż spirytusowy termometr w dwie minuty po wypadku opadł do 21° pod zerem. Szybko uciekające wybrzeża dały nadto poznać naszym żeglarzom, iż silny wiatr unosi ich ku północy. Machina, pomimo zwiększonego ciśnienia pary, nie mogła mu się oprzeć. Wobec tego nie było innej rady, jak czempredziej opuścić się ku ziemi; inaczey życiu szlachetnego sternika groziło niebezpieczeństwo. To też Gromski otworzył klapę i aerostat niebawem znalazł się ponad śniegowemi zaspami, w których zniknął James.

Kapitanowi ścisłało się serce na myśl, że odważny towarzysz tyłu jego podróży mógł paść ofiarą swego bohaterskiego czynu; należało się przygotować na to, że stary marynarz, wypadając z wysokości kilkunastu metrów z pędzącego całą siłą pary balonu, zabił się na miejscu, uderzywszy o jedną ze skał, rozsianych na równinie.

Gromski miał również smutne przecucia, przedsięwziął więc energiczne poszukiwania: krążył ponad równiną, krzyczał i nawoływał—lecz napróżno. Już stracono zupełnie prawie nadzieję, gdy nagle z głębi olbrzymiej zasy usłyszano przytłumiony głos sternika. Dzielny marynarz spadł, na swe szczęście, w śnieg, zapelniający jakąś rozpadlinę i pogrążył się weń całkowicie. Po długich bezowocnych próbach wydobywania się na powierzchnię—James poddał się losowi i gdyby nie nawoływanie Gromskiego, napewno zostałby pogrzebany żywcem.

Oswobodziwszy sternika, nasi żeglarze z trudnością doprowadzili balon do kotliny, leżącej obok wspaniałego lodnika, spływającego do oceanu z wybrzeża. W zagłębieniu tem statek powietrzny był doskonale zabezpieczonym od podmuchów północnego i południowego wiatru.

Punkt ten, jak pokazały staranne spostrzeżenia Forda, leżał pod 89° 38' 48" szerokości; 47 kilometrów tylko oddzielało zatem naszych żeglarzy od matematycznego bieguna.

Usłyszawszy tę cyfrę, James nie mógł się powstrzymać

od ogłuszającego „hurra” i od wyrzucenia w górę czapki; Gromski zaś ze łzami w oczach padł w objęcia wzruszonego do głębi kapitana.

— Wybacz pan — rzekł ten ostatni; — gdyby nie moja nieroztropność, przedarlibyśmy się jeszcze ponad temi lodami.

— A potem?

— Zarzucilibyśmy kotwicę, której tak lekkomyślnie pozbylem się, i oznaczylibyśmy położenie bieguna.

— Trudnoby było zrobić to na oceanie, gdyż aerostat nie może z powodu wiatru zatrzymać się na jednym punkcie; prócz tego, jak panu wiadomo, nie mamy paliwa, co prawda przeszkoda ta dałaby się usunąć, gdyby jeden z nas, zamiast wyskakiwać niespodzianie, pozostał dobrowolnie na brzegu; wtedy nie stracilibyśmy gazu bez pożytku.

— To znaczy, że nie zdobyłem się wcale na mądry pomysł, — wtrącił smutnie sternik.

(d. c. n.)

## PRZEBUDZONA.

Słonko majowe  
Ze snu już wstaje,  
We mgłach różowe  
Wyzłaca gaje.  
Przez chmur koronkę  
Patrzy ciekawie,  
Biegnie przez łąkę,  
Kąpać się w stawie,  
Promyki drżące  
Po drzewach wieszają  
I budzić śpiące  
Kwiatki pośpiesza.  
Ukradkiem, z cicha,  
Pączki rozwija,  
I w lot z kielicha  
Rosę wypija.

O ileż blasku,  
Jakże uroczosi!  
W pobliskim lasku,  
Ptaszki szczebioczą,  
A z tego drzewa,  
Co pod oknami,  
Słowiczek śpiewa  
Pieśń nad pieśniami.  
Piosenka płynie  
Dalekiem echem,  
Chaty w dolinie  
Wtórzą jej śmiechem,  
Wszystko się budzi,  
Do zajęć wraca,  
Ożywia ludzi  
Radość i praca.

## ZŁOTNIK KRÓLEWSKI,

OBRAZEK Z XIV W.

p. Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

Przed lepianką siedziało nawpół zaledwie odziane, ogozrałe pachole, spoglądając w dal wielkimi ciemnymi oczyma.

Zaduma jego musiała być głęboka a myśl chłopca znać odbiegła daleko, bo siedząc plecami odwrócony do przybywających, nie słyszał ani ich kroków, ani głośniejszej rozmowy jaką ze sobą wiedli.

Patrzył i patrzył na rozścielającą się u stóp gór dolinę i na cuda przyrody, jaśniejącej całym swem bogactwem wśród promieni wiosennego słońca.

— Ubiegł mnie ktoś i gniazdo już tu sobie zbudował — rzekł król, ujrząwszy chatę i siedzące przed nią pachole.

I twarz Karoberta przybrała znów ten ponury i zniechęcony wyraz, z jakim widzieliśmy go przed przebyciem Dunaju.

— Miłośnicy nasz królu — rzekł Kosza dwornie, spojrzawszy na zasmuconą twarz monarchy — ten nie zajął wam miejsca lecz wyprzedził, aby, nim stanie zamek, panu swemu choć w lepiance zgotować odpoczynek.

— Masz na wszystko gotową odpowiedź — odparł król, uśmiechając się nieznacznie. — Pokpiłeś jednak sprawę — dodał — bo ów, co niby dla nas miał odpoczynek zgotować, siedzi jak głuchy i nietylko, że nas nie oczekiwał, ale nawet wcale zdaje się nie zważać na nas.

\*) Pisząc to, dowiadujemy się, iż wkrótce ma wyruszyć nowa wyprawa do bieguna południowego pod wodzą znakomitego Vasco de Gamy północnego — Nordenskiölda.



Kosza w miejsce odpowiedzi wysunął się naprzód, chcąc siedzące pacholę jednym wyrazem „król” z zadumy wyprowadzić.

— Ani mi się waź! — zawołał Karobert — przenikając zamiary giermka.

Kosza wstrzymał się, chociaż znać było na jego twarzy, iż ten rozkaz nie w smak mu poszedł. Miał bowiem wielką ochotę tę wycieczkę spokojną, jakąś bójką ożywić i spróbować swej siły na obnażonych plecach siedzącego przed chatą.

Król zaś spokojnie podszedł do pacholęcia.

Chłopiec zwrócił nań swoje wielkie czarne źrenice i z dziwnym spokojem spoglądał na przybyłych, nie ruszając się z miejsca i nie mówiąc ni słowa.

— Coś ty za jeden? — zapytał Karobert.

Chłopię miasto odpowiedzi spojrzęło na niego śmiało i rzuciło toż samo pytanie.

— Ale coś ty za jeden?

Pomiędzy dworzanami przebiegł jakiś szept złowrogi, a Kosza miarkował ściśniętą pięść, ażeby rozkazu królewskie-

Giermek rzucił się z całą zaciętością na opartego o drzwi chaty Erösa, chcąc go jako niepotrzebną zaporę usunąć, lecz ten jedną ręką pchnął go tak silnie, iż biedny Kosza ani się spostrzegł, jak leżał, jak piłka rzucona niedbale.

Król i jego dworzanie spojrzeli po sobie. Kosza zerwał się i z podnieconą zemstą za upadek, chciał się rzucić na stojącego.

Erös zmierzył go płomieniejącym swym wzrokiem i giermek zniewolony jego siłą, odszedł spokojnie.

— Co to jest? — szepnął król zdziwiony,

Znał bowiem Koszę, że ten nie łatwo ustępował z drogi.

— Pozwól, miłościwy królu — rzekł pocichu Gara — rzucę się na tego śmiałka i zgmiotę jak muchę.

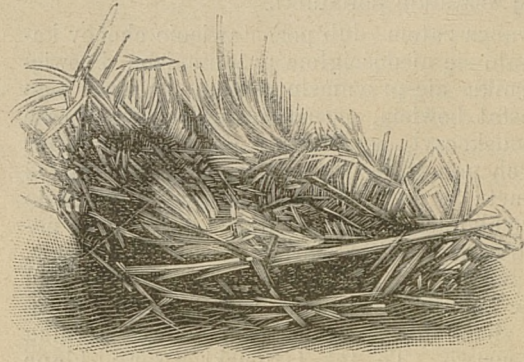
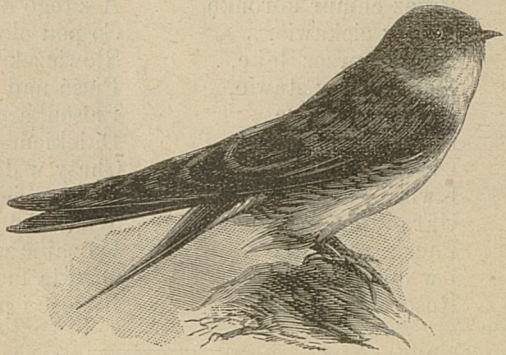
Karobert skinął głową na znak zezwolenia. Gara wyjął toporek z za pasa.

— Co chcesz uczynić? — zapytał monarcha.

— Nie zabiję, bo na widok topora ten malcec ustąpi.

I szedł ku niemu z podniesioną prawicą.

Erös jednak nie tylko nie ustępował, lecz śmiało spoglą-



Jaskółka brzegówka (*Cotyle riparia*).

go nie przekroczyć. Karobert zato odrzekł, uśmiechając się łaskawie.

— Ja i moi towarzysze jesteśmy podróżni, znużeni drogą, chcielibyśmy w twojej chacie odpocząć.

Chłopiec wstrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę was wpuścić do chaty; tam jest już gość, którego ludziom pokazywać mi nie wolno — odrzekł spokojnie.

Król zmarszczył brwi nieco, powstrzymał się jednak w gniewie, bo go zaciekawiało to pacholę, tak śmiało doń przemawiające. Zapytał więc.

— He, może tam zbrodniarza jakiego ukrywasz? — i ku niskim drzwiom lepianki się posunął.

Oczy chłopca zaświeciły dziwnym blaskiem, zerwał się i wyprostowawszy swą niewielką lecz krzepką postać, zawołał:

— Zbrodnia ni żaden zły czyn nie znany jest tutaj, do chaty jednak wejdzie tylko ten, kogo ja wpuszczę! A kto będzie miał prawo po temu — dodał jakby do siebie.

— Hardo się stawiasz, a widzisz, że gdybyśmy chcieli, łatwobyśmy wejść mogli, boć oto nas pięciu, a ty sam jeden — rzekł król, zabawiając się oporem chłopca.

— Jeden, ale zwę się Erös (siła).

— Erös? no zobaczymy, jaka to tam w tobie siła — rzekł król i skinął na Koszę.

dał, jak gdyby siłą swoich oczu chciał obezwładnić nieprzyjaciela. I znowu o dziwo, dłoń Gary opadła i zawstydzony na bok się usunął.

— Jakaś nieczysta siła wnięszala się w tę sprawę! — rzekł Szenań, i zakreśliwszy znak krzyża świętego przed sobą, posunął się ku broniącemu wejścia.

Erös tymczasem stał nieruchomie, jego niewielka postać zakrywała jednak niskie i wąskie drzwiczki. Zdawało się, że to rycerz z brązu wykuty stoi na straży zamczyska, którego wieżycą była strzelająca ku górze spiczasta ściana skały.

Jaskrawe promienie słońca spływające po niej ozłacały małą lepiankę i Erösa, którego ciemne źrenice wśród tych złocistych blasków nabierały większej jeszcze mocy. Złożył spokojnie ręce na odkrytych piersiach, zaciął usta i patrzył na zbliżającego się z podniesionym toporem z tak wyniosłym spokojem, że Szenań tak jak i jego poprzednicy opuścił dłoń wzniesioną i ze wstydem usunął się, kryjąc za towarzyszy.

— Nieczysta siła! nieczysta siła! — powtórzyli Tepel i Korasz z jakimś zabobonnym przest్రachem.

— Co za nieczysta siła. Niema jej i być nie może tam, kędy Stwórca świat cały w tak wspaniałą przystroił szatę! — rzekł król, podniósł jednak rękę do czoła i krzyż zakreślił, a potem rzekł do otaczających:



— Niechajmy go, niechaj siedzi ze swoim tajemniczym gościem, a my chodźmy szukać naszej strzały.

Erös nastawił ucha i zdawał się lowić wyrazy, które z ust króla wybiegały.

— Miłościwy panie — rzekł Tepel — gdybyśmy się wszyscy do niego wzięli?...

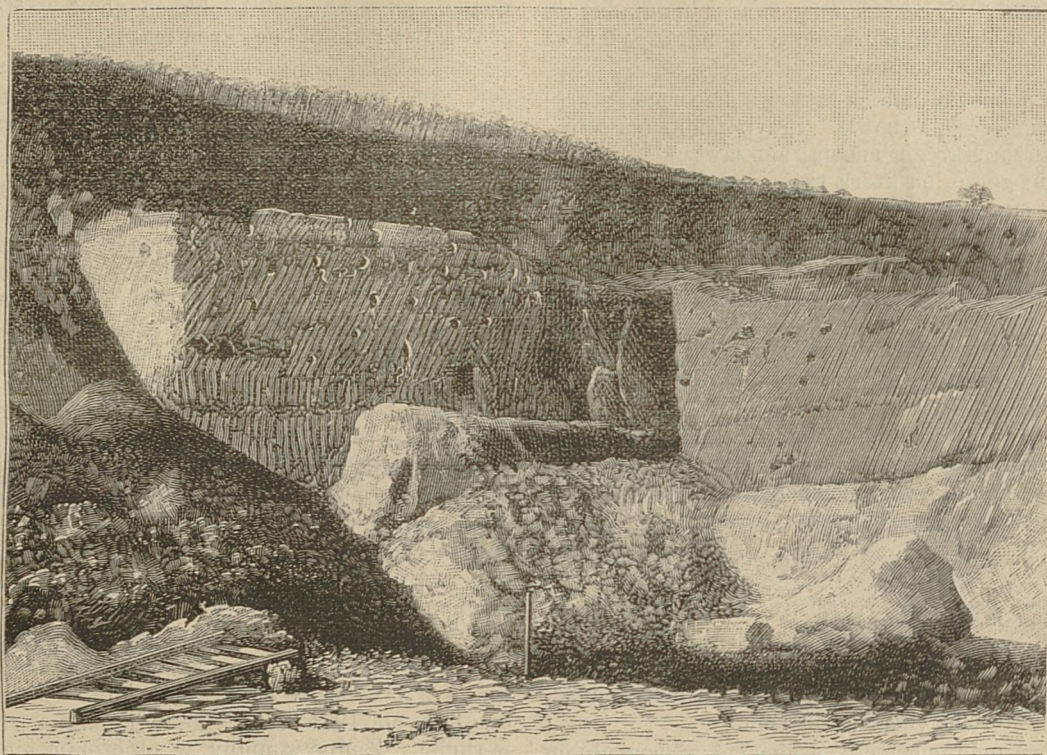
— Nie można go przecież w takim zuchwalstwie i nieposłuszeństwie waszej królewskiej mości zostawić — dodał Korasz.

Jakkolwiek rozmawiano po cichu, Erös znać dosłyszał ich wyrazy, bo nagle przez jego nasróżone dotąd lice, przebiegła radość. Wbiegł do chaty a nim się opatrzyli stojący

Choćby ci przyszło życiem nalożyć, nie wpuszczaj nikogo, aż przyjdzie król. Jemu to oddaj strzałę a wtedy zejź z góry, idź pomiędzy ludzi, patrzaj ich obyczajów i ucz się wiele. Strzała tu szczęście przyniesie, bez niej zmarniałbyś, jako pisklę wyrzucone z gniazda. Eroszem cię nazwałem, z nazwą więc powinieś mieć siłę, a tą siłą czyj wiela, a Bóg niech ci błogosławi."

Zapamiętałem to, co dziaduś mówił, a teraz kiedyś spełnił, co mi rozkazał, pójdę już sobie, boć wiele razy ciągnęło mnie, abym ujrzał, co tam się tam dzieje w dolinie. Tyś królu, panem na dziadusia chacie.

To mówiąc odwrócił się i szedł spokojnie w stronę onych



Kolonia jaskótek brzegówek.

przed nią, wyszedł i padłszy na kolana przed królem, podał mu jego strzałę, mówiąc:

— Oto gość, którego tylko samemu królowi oddać mogę.

Wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na siebie.

— Skądżeś wiedział, że to moja strzała?

— Najjaśniejszy królu, czekałem już na tę strzałę i na was dni wiele.

— Któż ci powiedział, że ja strzałę na tę górę wyrzucę?

— Dziaduś mi rzekł, umierając: „Czekałem na strzałę, która utknie w skałę nad chatą, boć ta strzała będzie oznaką, że tu przyjdzie pan całej Węgier ziemi, aby na miejscu naszej chaty wielki dla siebie zamek zbudować. Aleć doczekać się nie mogę, abym ją sam królowi oddał, ty, Eröszu, musisz tutaj pozostać i czekać na nią. Pamiętaj, że ci nie wolno stąd się oddalić, jeno chaty pilnować. Gdy ujrzysz strzałę, jako wicher lecącą, patrz pilnie, kędy utknie, a schodząc do chaty, strzeż aby jej niczyje oko nie oglądało.

dolin uroczych, gdzie zdala widniały mieszkania ludzi i ziemia żyzna, rozrastająca się pracą rąk ludzkich.

— Erös, Erös! — zawołał za nim król.

Chłopiec stanął i wpatrzywszy się w mówiącego, rzekł śmiało:

— Co chcecie, królu, jeszcze odemnie?

— Zostaniesz tu z nami! — odparł Karobert.

— Nie mam już tu nic do roboty, odpuście mnie. Tożem od śmierci dziadka, co jeszcze pomarł, gdy liście pożółkły dopiero na drzewach, człeka żadnego nie widział. Liście zupełnie opadły, ziemia przespała długi czas pod śniegiem, mnie było nieraz zimno i głodno pod skałą, boć suszonego mięsa, upolowanego przez dziadka zabrakło, czasem jeno ptaka na śniegu w sidła chwyciłem... Słonko się wzbiło, obudziło ziemię, wyjrzały listki i korzonki z ziemi przed chatą, i ja wyszedłem na słonko, aby was wyglądać. Puścież mnie teraz do ludzi, bo śpieszno mi do nich! — kończył błagalnie.



— Pójdiesz, pójdiesz do nich, lecz razem ze mną. Teraz już słońce chyli się ku zachodowi, trzeba nam spocząć, wiedz nas do chaty!

Erös, jakkolwiek serce mu drgało, aby jak najprędzej wybiedz w świat dla niego nieznaną, na rozkaz króla wprowadził go do wnętrza swojej lepianki.

Karobert wszedłszy, zawołał:

— Oto mój zamek! i wszedłszy do ciasnej izdebki. — Ciasny dziś i ciemny, lecz nad nami wielki strop nieba, a przestrzeń góry wielka, rozszerzymy się powoli i spojrzymy na całe nasze państwo — a potem dodał:

— Erös, uściel mi łoże, jakoś słał swemu dziadowi, chce już tę noc w swoim zamku przepędzić.

Erös począł znosić mech i młode gałązki drzewa, Kosza i panowie mu pomagali i wkrótce na środku maleńkiej izdebki usłane było łożo.

Nie wygodne ono było i nie okryte makatą, ani izba nie odpowiadała komnatom królewskim, myśl jednak, że tu kiedyś stanie rzeczywisty zamek, pozwalała Karobertowi o tem wszystkim zapomnieć. Z rozjaśnioną twarzą spoglądał na krzątanie się swego otoczenia, a czasem tylko marszczył brwi jakby chciał sobie coś przypomnieć.

Aż przywołał sobie na pamięć lata swe dziecięce i starego wojaka z którym się często bawił. Przypomniawszy sobie, że rozmawiając z onym starcem mawiał mu zawsze, iż zbuduje zamek na wielkiej górze, na którą rzuci strzałę. Marzenia dziecięce spletały się z myślami wojaka, który mu zginął z oczu, a który snąc gawędy dziecka zapamiętał, biorąc je jakby za przepowiednię.

— Dziwny, dziwny zbieg wypadków — rzekł sam do siebie!

Nie przyznał się jednak panom do tych marzeń z lat dziecięcych, jako też do znajomości starca, którym być musiał dziadek Erösa.

Wolał ich zostawić w mniemaniu iż jakies wyższe natchnienie przemawiało przez usta owego starca. Chodziło bowiem o to, ażeby stromiectwo mu niechętnie pod wpływem owej cudowności jak najprędzej się uciszyło.

## II.

### DWORZANIE.

Tymczasem uciszyło się i w naturze. Słońko skryło się zupełnie, a na ciemno-błękitne niebo wystąpiła moc gwiazd, patrzących na ludzi złotemi swojemi oczyma.

Król spoczął na usłanem łożu, a chociaż niewygodnym ono było, zasnął wkrótce snem twardym, bo po trudach dnia przebytego ciało domagało się spoczynku.

Erös miał nakazane, aby we drzwiach chaty spoczywał. Do niewygód był przyzwyczajony, ani więc chłód nocy, ani brak posiłku wieczornego nie zakłócił snu jego. Podłożył dłonie pod głowę i rzucił się przy drzwiach otwartej lepianki. Gwiazdy czuwały jak zwykle nad nim, a myśl że wkrótce ujrzy ludzi i świat dotąd mu nieznaną, ukołysała go do snu słodkiego.

Lecz sen nie sklejał powiek czterech starszych towarzyszy króla i jego giermka.

Głód im potężnie doskwierał, wszak od południowego posiłku zaledwie wody trochę się napili.

Nie mogli nawet chodzić, ażeby jakiś dziwny niepokój rozpierający im piersi ruchem przytłumić, bo się bali zbudzić spoczywającego monarchę, nad którym powinni byli czuwać. Przysiedli więc na odłamku skały nieopodal chaty i każdy w ciężkiej zadumie pochylił głowę na dłonie. Siadł także i Kosza, ten nie schylił głowy, lecz ponuro w dal spoglądał.

— Czort nie chłopak! — mruknął do siebie.

— Cicho! — szepnął Korasz. — W tej ciszy, każdy wyraz krzykiem się zdaje.

Kosza miasto zamilknąć, przybliżył się do siedzących i rzekł:

— Słuchaneż bo na świecie, żeby taki pędrak miał taką siłę! zmógł mnie i rzucił jak szczenię, a potem przykuł swojemi ślepiami, że ani drgnąć z miejsca nie mógł.

— Ba, nie tylko ciebie! — ozwał się Gara.

Szenai nic nie rzekł, niechętnie tylko machnął ręką i splunął przed siebie.

— Złe w nim siedzi! — rzucił Tepel z taką pewnością, jakby co do tego najmniejszej wątpliwości być nie mogło.

— A jednak widziałem, jak się przeżegnał, układając do snu — począł Kosza.

(d. c n.)

## Kolonia jaskółek.

Jaskółki oknówki są bezwątpienia zadziwiająco zręcznymi budowniczymi, potrafią bowiem ze zwykłego błota znoszonego po trochu w dziobkach zbudować sobie gniazdeczko prawdziwe cudo ptasiej architektury.

Jaskółki brzegówki (cotyle riparia) ustępują im jednak pod tym względem. Ich gniazdzka są nieforemnym stożkiem siana, piór, puchu, na którym składają jajeczka.

Dla zabezpieczenia swego potomstwa od nieprzyjaciół, brzegówka wydrąży w ziemi głęboki korytarzyk, na końcu którego umieszcza gniazdo.

Trudno pojąć jak ten maleńki ptaszek może dokonać tak olbrzymiej dla niego pracy, w stosunkowo krótkim przeciągu czasu. We trzy dni bowiem jedna para wykopuje galerię długą na cały metr.

W Cassel, na równinach Flandryi, wznosi się pagórek, skąd wybierają pokłady piasku, w tem miejscu od wielu lat istnieje kolonia brzegówek, wyobrażona na dołączonej do niniejszego artykułiku rycinie.

Dodać należy iż w sąsiedztwie tej kolonii niema ani stawu, ani rzeki, skądby jaskółki mogły czerpać wodę; a do morza północnego jest stamtąd trzydziście kilometrów (kilometr — wiorście małej). Bojaźliwe nadzwyczaj ptaki te opuszczają swe siedlisko za najłżejszym hałasem, lub wskutek napadu człowieka i przenoszą się na inne miejsce.

Otóż, pomimo że w kopalni mieszka wielu robotników, i że w sąsiedztwie kolonii przebiegają pociągi drogi żelaznej, łączącej zakłady ze stacją — jaskółki pozostały. Mieszkają one tam od 1875 roku, kiedy kopalnia znajdowała się już w ruchu. Żadne zmiany w otoczeniu nie zdołały wypędzić jaskółek, znanych przecie ze swej bojaźliwości. Jest tam setka z górą gniazd, otwory których leżą na liniach równoległych do siebie. Prawie wszystkie przy końcu września są jeszcze zamieszkiwane. Nic ciekawszego jak obserwowanie rój tych żywych ptaszków, wlatujących i wylatujących co chwila ze swych gniazdek; korytarzyki prowadzące do tych ostatnich mają formę prostego lub łamanego cylindra, mierzącego od 80 — 100 centymetrów długości; otwór ich posiada takie rozmiary, iż łatwo doń wsunąć rękę. U nas brzegówki również dość często obierają sobie siedlisko na stromych ścianach parowów lub brzegach rzek.

## CIOCIA HELA.

POWIADANIE Z. M.

Joanna, stara bona w Różynie, otworzyła drzwi do biblioteki i spojrzała w głąb niespokojnym wzrokiem. Dzień był szary i smutny. Deszcz lał potokami zrana, i niebo nie wyjaśniło się jeszcze, ale Florcia „panienka,” jak ją w domu nazywano, kazała rozpalic w bibliotece ogień, którego blask rozweselał trochę pokój, rzucając odbłaski na półki napełnione książkami jej ojca, na wielkie jego bióro,



na wygodny fotel, na czarną baranią skórę leżącą na posadzce, na szeroką sofę i na stołeczek, gdzie przez długie zimowe wieczory siadywała w kąci przy kominku, gdzie ojciec jej czytał lub pisał, przerywając czasem to zajęcie, żeby zamienić słówko i pośmiać się z córeczką. Do jednego miejsca jednak nie dochodziły rozweselające promienie ognia. W głębokiej framudze okna dającego na wschód stała Florencia: oczy jej poczerwieniały od płaczu, długie, ciemne włosy spadały rozpuszczone, ręce ścisnęły zmiętą, zmoczoną chusteczkę, i spoglądała z żalem i rozpaczą na Joannę.

— Czy panienska jest tu?—ozwała się litośnie bona spoglądając na drobną skuloną postać.

— Tak, jestem tu—zawołała Florencia, niecierpliwie podnosząc głowę. — Przecież mnie widzisz. Co to za niemądre pytanie, Joanno.

— Prawda, moja gołąbko, prawda — odparła Joanna żalostnie potrząsając głową—ale tak jestem pomieszana, że nie wiem co mówię. Taka zmiana.

I jakgdyby chciała powiedzieć: Dogadzajmy sobie przy najmniej dopóki możemy; nachyliła się żeby drzewa dołożyć na ogień,

— Co ty robisz, Joanno? — rzekła znów niecierpliwie Florcia, chcąc niby dowieść, że władza jeszcze przy niej—jest dość drzewa i nie jest tak zimno jak rano, kiedy kazałam rozpałać.

— Chciałam żeby ci było ciepło—rzekła znów Joanna, choć głos jej brzmiał już nie tak litościwie.

Podniosła się w końcu i spojrzała na Florcię, zbliżając się do ognia z suchemi oczyma. Przed dwoma dniami Florcia była jedyną władzą i sprężyną w domu ojca, a teraz biedna dziewczynka czuła, że najmniejsze jej polecenie było przyjęte od służących z laski tylko, że ją słuchano przez litość, przez krótki czas, który miała jeszcze rządzić. Nieznośną była myśl ta dla biednej dziewczyny, i zaciskając w ręku wilgotną chusteczkę, powtarzała w duchu:

— Ojczy jakże mogłeś, jakże mogłeś być tak niedobrym!  
— Czego chciałaś odemnie, Joanno?—zapytała jeszcze głośno.—Nie będę się ubierała na obiad, a zapóźno jest aby iść na spacer.

— Dobrze, dobrze, duszyczko — odrzekła Joanna łągodnie.

Obojętność Florci, dla której ubieranie się na obiad było największą przyjemnością, była w oczach boni najsmutniejszym objawem jej stanu duszy, którego zresztą nie mogła jej mieć za złe.

— Biedne dziecko! biedne dziecko! — myślała.—Co za straszne upokorzenie dla podobnego charakteru i usposobienia!

Może pomimo tego ubolewania odrobina zadowolenia mieściła się w zapatrywaniach Joanny na to co zaszło. Nikt zapewne w tym wielkim, wytwornie urządzonej domu, nie dbał tyle co ona o opuszczoną sierotkę, ale Joanna nieraz musiała znosić samolubne, despotyczne wybryki Florencyi. Cały dom dobrze wiedział zresztą jak panienska umiała czasem dokuczyć i Joanna pamiętała niejedną ból głowy, nieudany spacer i zły humor, których Florcia była powodem. Co teraz będzie, — myślała — gdy pan przywiezie do Różyna nową panią, młodą matkę, która wszystkiem będzie rządziła?

— Piękne rzeczy będą się działy—rzekła wczoraj zrana Tomasz ogrodnik, gdy Florencia rozżalona wpadła jak orkan pomiędzy róże czerwcowe, ogalając najpiękniejsze krzaki i nie wiedząc potem co zrobić z tą obfitością wspaniałego kwiecia, uwiła zeń wieńce, któremi obwiesiła altankę przed kilku laty zbudowaną dla jej lalek. Pod skwarem słonecznym róże zwiędły w przeciągu godziny i wisały jako nieme, melancholiczne świadki gwałtowności młodej dziewczyny.

— Tak, piękne rzeczy będą się działy—mówił Tomasz do Joanny.—Jeżeli nowa pani zniesie takie postępowanie, to się bardzo na niej zawiodę.

Przed kilku bowiem tygodniami widział przyszlą panią i dla tego kiwał głową w sposób, któryby do złości doprowadził Florcię, gdyby rozumiała co oznaczał.

— Czegóż więc chcesz, Joanno!—zapytała rozpoczynając znów rozmowę z boną.—Widzę po twojej twarzy, że masz coś do powiedzenia. Mówże.

— Tak, moja droga, chciałam powiedzieć, że jest tu Piszczalska, a ona była w Zambrowie, i możebyś ją chciała widzieć. Możeby nam co powiedziała? — dodała zniżając głos tajemniczo.

— Naturalnie że chcę ją zobaczyć, i trzeba być tobą Joanno, żeby tu stać godzinę, nim się wygadasz! Gdzie ona jest?—zawołała Florcia, zrywając się i biegnąc ku drzwiom.— W kuchni zapewne? Znowu cały tydzień trzeba będzie czekać nim mi odpowiesz.

Nim Joanna rzeczywiście mogła odpowiedzieć, Florcia wybiegła z pokoju, otworzyła i zatrzasnęła za sobą drzwi wybite sukniem zielonem, które do gospodarskiej części domu prowadziły, i zwolniła kroku dopiero zbliżając się do kuchni, przez wzgląd na uczucie godności trzynastoletniej pani domu.

Kuchnia, jak w głębi serca uznawała Florcia, była najmiłszym zakątkiem w całym domu. Żadnego tam nie było nieporządku—mówiła kucharka, Zawistowska, bo obok był obszerny kredens, ciasta i przysmaczki przygotowywały się w piekarni, a służący jedli w sąsiednim pokoju. Kuchnia więc jaśniała czystością i blaskiem miedzianych rondli i cynowych naczyń; rozweselała ją klatka z kanarkami Tomasz. Dawna porcelana, biała z niebieskiem, stojąca na kredensie należała jeszcze do babki Florci, gdy jako szesnastoletnia mężatka przybyła do tego domu, wtedy gdy p. Zawistowska córka ówczesnego ogrodnika miała cztery lub pięć lat. Przez okno i otwarte drzwi widać było wysokie malwy, krzaki porzeczkowe i rabaty otoczone bukszanem. Cała swoboda i weselość cichego domu p. Różalskiego schroniły się w tej jego części i nie dziw, że ponimo wysileni, aby zachować godność swoją i udawać dorosłą panę, mała Florcia odczuwała wpływ ten odmładzający.

Pani Piszczalska zapijała herbatę obok kanarków, kiedy weszła Florcia. Była to tęga, wesota i nie bardzo mądra kobiecina, ubrana w okrągły, czarny, słomiany kapelusz i w czarną alpagową suknię. Jako dawna niania p. Różalskiego miała bliskie stosunki z całym domem i Florcia ją lubiła, chociaż nie dowierzała pochwałom, któremi ją obsypywała staruszka. Wiedziała doskonale, że kiedy Piszczalska jej mówiła że jest śliczna, nie było w tem odrobiny prawdy, ale słysząc to doznawała pewnej przyjemności. Florcia byłaby chciała być ładną, podobną do portretu matki w salonie, lub do Zosi Wirowskiej, która była białą i różową laleczką, ale wiedziała że nie ma prawa wierzyć w pochlebstwa, których nawet Joanna czasem sobie pozwałała.

— O moje serduszko ukochane — zawołała Piszczalska, podnosząc w górę grube ręce w czarnych mitynkach, kiedy Florcia weszła do kuchni.—Chodź do starej niani, moje biedactwo. Chciałam przyjść do ciebie, ale byłam zmęczona i pić mi się chciało.

— Przyszłam więc sama do ciebie—rzekła Florcia siadając przy stole.—Byłaś podobno w Zambrowie, nianiu—dodała po chwili i śniada jej twarzyczka zarumieniła się, bo tam spotkał ojciec ową nową matkę, która miała ich szczęście domowe zniweczyć.

— Byłam i wiem o czem myślisz, pieszczotko moja. Co to za zmiany! nastaną — ciągnęła dalej niemądra staruszka, kiwając uroczyście głową.

Kucharka, która krem przyprawiała, zatrzymała się, żeby odpowiedzieć:

— Pan nasz ma prawo robić, co mu się podoba; lepiej się dzieje w domu, kiedy w nim pani rządzi. Spróbuję zresztą, a jeżeli mi źle będzie, pójdę sobie chociaż czterdzieści lat tu wysłużyłam. Jak nastałam, p. Różalski jeszcze nie był żonaty—dodała wdychając.

— Ala są tacy którzy nie będą mogli odejść — rzekła po cichu zawsze niemądra Piszczalska, spoglądając na wyprostowaną osobkę i ożywioną twarz Florci. — Zresztą może i wszystko będzie dobrze—dodała—czy mówiłam paniencie, że widziałam...



Widziałaś ją! — zawołała Florcia z najwyższem zajęciem.

Dopiero dnia poprzedniego niepewne pogłoski o wielkim wypadku nabrały stanowczości, ale Florci wydawało się że cały rok niedoli przeżyła od tego czasu. Wiedziała więc, że ojciec jej miał się w tym tygodniu ożenić, i że narzeczona mieszkała w Zambrowie, ale nikt się nie znalazł, ktoby zaniepokojonej dziewczynce mógł powiedzieć, jaką to oblubienicę, jaką nową matkę miał przywieść ojciec.

Florcia mało wyjeżdżała z domu i rzadko kto bywał w Różynie, gdzie rzeczywiście dwoje dzieci tylko zamieszkiwało, Florcia i braciszek jej Staś, gdyż p. Różalski dużo przebywał za domem.

Kiedy się wiadomość rozeszła, służące wiedząc że niepodobienstwem byłoby ją ukryć przed Florcią i mając chęć wrodzoną do rozprawiania o podobnych przedmiotach, mówily przy niej swobodnie i biedne dziecko znajdowało się od dwudziestu czterech godzin w stanie najgwałtowniejszej rozpaczki i oburzenia. Wszystko się w niej buntowało i teraz Piszczalska dołała oliwy do ognia swemi przypuszczeniami i przepowiedniami.

— Jak ona wygląda, nianiu? — zawołała Florcia. — Powiedz mi, ja nic nie wiem.

Piszczalska spojrziała po kolei na żywo zainteresowane oblicza słuchaczy, na rabaty w ogrodzie i zaczęła:

— Jakby ją wam opisać? Byłam u szwaczki, zdaje się, że jej tam robią suknie do wyprawy, wstąpiłam żeby słówko powiedzieć i ta panna Gumińska, bo tak się nazywa, weszła. Ludzie ją tam mają za piękność, ale nie mogą powiedzieć, żeby mi się spodobała. Jest wysoka, kształtna, ale tak patrzy, jakgdyby nie było na świecie nic dosyć dobrego dla niej, jest bardzo śniada ale świeża, ma kolory, czarne oczy i włosy jak skrzydła kruka.

Żywy rumieniec wystąpił na lica Florci zacisnęła usta, ale słuchała uważnie.

— Jak tylko wyszła, Marysia powiedziała mi kto ona była — ciągnęła dalej Piszczalska, wpadając w zapał i nie spuszczając oznak gniewu i oburzenia na rozpalonych policzkach i w iskrzących oczach Florci.

— Pomimo tego że taka piękna i bogata, ludzie powiadają, że p. Różalski źle na tem wyjdzie; rodzina jej rada jest że się jej pozbędzie, bo to taki nieznośny charakter. Boże mój! co to jest? — zawołała nagle Piszczalska, bo Florcia nie mogąc dalej słuchać, a nie chcąc wybuchnąć przed służącymi, uciekła nagle, i kiedy pozostałe kobiety ubolewały bez prawdziwego współczucia nad jej losem, dziewczynka szybko przebiegłszy korytarze, wpadła do biblioteki, gdzie rzuciwszy się na sofę, ukryła twarz w poduszki i gorzko, gwałtownie zapłakała.

Biedna Florcia! Pomimo łez które nad sobą wylewała, nie miała ona wyobrażenia jak rzeczywiście była godną pożalowania. Wychowanie, które od lat sześciu, to jest od śmierci matki, odbierała, musiało wydać najgorsze owoce u dziecka z jej usposobieniem. Pozostawiona prawie ciągle opiece służących, którzy prędko odkryli, że łatwiej było dogadzać i pochlebiać gwałtownej, samowolnej, zarozumiałej istocie, jak sprzeciwiać jej się, sądziła że jest osobą posiadającą

nieograniczoną władzę i swobodę. Żywość jej, dowcip i zdolności podobały się ojcu, a bawiły go ruchy osoby dorosłej i pani domu, które przybierała. Mało jak mówiliśmy bywał w domu i w ogóle mając usposobienie marzycielskie i niepraktyczne, potrzebował widzieć szczególny wybuch gniewu, lub jawne nieposłuszeństwo Florci, żeby sobie zadać pytanie, czy w wychowaniu córki nie ma coś niewłaściwego.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Cztery litery tworzą moją całość,  
A dwa znaczenia ludzie mi nadali;  
Więc gdy pierwszego znana jest wspaniałość,  
O drugim mówią tylko biedni, mali.  
Tamta potomków dzielnego Atylli  
Stolicą była przez wieków szeregi,  
A z jej potęgą Turcy się liczyli  
Gdy się oparła o Dunaju brzegi.  
Ta zawsze skromna, czy gdy czleka mieści  
Którego zbytek i dola nie pieści,  
Czy też jezeli za schronisko służy,  
Temu, co nocnem czuwaniem się nuży.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Ruty z nad Dźwiny przez Czteroooczkę.

Z następujących sylab: A — ce — czer — bi — dus — gów — ga — gly — gło — hu — in — ków — ment — nia — nia — ne — o — sy — ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Miejsowość pod Warsz. z klasztorom OO. Bernardynów. 2. Poboczna Gangesu. 3. Rzeka święta dla Indusów. 4. Materiał używany w budownictwie. 5. Kraj rządony przez Negusa. 6. Miasto na Szląsku, sławne bohaterską obroną przeciw Niemcom. 7. Jedno z większych jezior w Rosyi. — Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą nazwę miasta w Ameryce północnej, a końcowe w tym samym kierunku nazwę przygotowującej się tam uroczystości.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Szarady: N e r.

## Łamigłównki sylabowój:

1. Adamów. — 2. Banany. — 3. Rodos. — 4. Antimp. — 5. Kukurydza. — 6. Akacya. — 7. Dyament. — 8. Annopol. — 9. Bylica. — 10. Ragun. — 11. Utrecht. 12. Salamandra.

Abakadabrus — Wyspa Atlanta.

Na kolonie letnie złożyli: Dzi rs. 1, Wandzia Drzew. rs. 2, Feliks, Stasia, Zygmunt, Mania, Zonia rs. 10.

## PRENUMERA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Balonem do bieguna p. Wl. Umińskiego (z drzew.) — Przebudzona, wiersz. — Złotnik królewski, obrazek z XIV w., p. Z. Morawska. — Kolonia jaskółek (z drzeworytami. — Ciucia Hela, opowiadanie p. Z. M. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Mały a pożyteczny p. V. Cairo (z drzew.) — Do mateczki, wiersz p. A. — Pogadanka z cicią. — Odwaga i zuchwalstwo, p. M. P. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.



## MAŁY A POŻYTECZNY.

— Boże, Boże, jakby to zrobić? — mówiła mama wchodząc do dziecinnego pokoju, gdzie przy stoliku siedział, układając łamigłówkę siedmioletni chłopczyk, a na dywanie bawiła się mała Janeczka ubieraniem nowej lalki, którą dostała na gwiazdkę. — Mam gościa z pilnym bardzo interesem do tatusia, a tu służący wyszedł i niema komu pójść po niego do biura. Wiesz co Antosiu — mówiła zwracając się do niańki — zostaw na chwilkę Jankę i pobiegnij po pana, przecież to niedaleko, zaraz na drugiej ulicy, a moja córuchna będzie przez ten czas grzeczna i pobawi się sama, prawda Janeczko?

Antosia zerwała się na rozkaz pani, ale jeszcze nie wyszła za drzwi, gdy już dziewczynka zrobiła smutną minkę i wybuchła głośnym płaczem.

— Nianiu! nianiu! — wołała łkając.

Ale Antosia znikła prędko, a mama musiała wyjść do gościa, było jej więc bardzo nie na rękę tulić teraz rozplakaną dziewczynkę, która zamiast się uspokoić płakała coraz głośniej. Coprawda, to tak bardzo za złe brać jej tego nie możemy. Janeczka miała bowiem dopiero dwa lata, a przyzwyczajona widzieć ciągle przy sobie Antosię, obejść się bez niej nie umiała.

— Córuchno, nie płacz koteczko, niania zaraz przyjdzie i przyniesie Jani ciasteczko! — mówiła do niej ma-



ma, śpiesząc się by wyjść do gościa, czekającego w salonie. Nie byłoby jej się to udało, gdyby nie Gucio, który widząc kłopot mateczki, rzucił swoją łamigłówkę i podbiegłszy do siostrzyczki zaczął ją uspokajać, pokazywać śmiesznego arlekina, który za pociągnięciem sznureczka wykonywał pocieszne figle.

— Niech mamusia idzie kiedy mamie pilno — rzekł — a ja tu Janię zabawię do powrotu Antosi.

Mama widząc że dziewczynka rzeczywiście ucichła zaczęła się uśmiechać na widok pajaca, skorzystała z tego i czempredzej pośpieszyła do salonu, ale jakież było jej zdziwienie i zarazem radość skoro po odejściu gości, weszła do dziecinnego pokoju. Gucio w kapeluszu niby ubrany do podróży, siedział na poręczy kanapy, trzymając ostrożnie przed sobą małą siostrzyczkę z batem w rączce i tak niby gdzieś daleko jechali, jak powiedział, a Jania śmiała się przytem tak serdecznie, że zupełnie zapomniała o niani, która po powrocie zajrzała do pokoju, a widząc grzecznie i wesoło bawiące się dzieci wymknęła się do kuchni.

— Wiesz Guciu, mógłbyś być wcale niezłą niańką — roześmiał się wchodząc w tejsze chwili tatuś patrząc na bawiącą się parke.

Gucio zarumienił się, bo mu się zdawało, że w tem powiedzeniu jest coś, co mogło ośmieszyć chłopczyka, lecz obecna temu mama wnet pośpieszyła z wyjaśnieniem, przemawiając na jego korzyść, a tatuś skoro tylko dowiedział się, że przyszedł w pomoc mamie zakłopotanej płaczem Jani, w chwili przybycia gościa, do którego śpieszyła, uściskał go za to serdecznie.

— Widzisz synku — rzekł potem, gładząc ciemną jego główkę — można być niedużym, a pożytecznym dla starszych.

V. Cairo.

## DO MATECZKI.

Kocham ciebie, kocham bardzo,  
Mateczko ma miła!  
Wiesz, że całe moje serce  
Tobiem poświęciła.  
Ja całuję rączki twoje,  
Gładzę czoło białe,  
Oko moje w twoim wzroku  
Zapatrzone całe.

Serce twoje, dusza twoja  
Wiem, że dla mnie żyje,  
I moje serduszko małe  
Dla ciebie też bije.  
Chętnie wszystko to wypełnię,  
Czego tylko żądasz;  
Ja życzenia twe zgaduję,  
Gdy na mnie spoglądasz.

Jeśli kiedy cię rozgniewam,  
Rozchmurz twoje czoło!  
A gdy do mnie się uśmiechniesz,  
Będzie mi wesoło.  
Ja serdecznie cię przeproszę  
Gdy zrobię co złego  
Przebaczenie wnet wyjednam  
U serca twojego.

Chcę być dobrą i posłuszną,  
I z chęcią pracować,  
Wykonywać co rozkażesz,  
Radę twą stosować!  
Przykładem też świeci dla mnie  
Twoja dobroć, cnota!  
Kochaj więc córeczkę twoją,  
Mateczko ma złota!

A.

## POGADANKA Z CIOCIĄ.

— Spojrz, Janku, jaka ładna tęcza — zawołała Mania.

— Gdzie? Gdzie widzisz tęczę? — zapytał Janek biegnąc do okna.

— O tutaj! W pokoju cioci Rózi.

— Co też ty mówisz, Maniu, przecież tęczę widzimy tylko na niebie, a nie w pokoju — odparł Janek wzruszając ramionami.

— Chodź-no do mnie, Janku — zawołała ciocia — a zobaczysz tęczę Mani.

Janek zaciekawiony obietnicą cioci w podskokach do niej przybiegł. Na stoliku pod oknem zobaczył kryształowy przycisk oświetlony promieniem słońca, a promień ten w szkłe przyjmował tęczowe barwy.

— Prawda ciociu! — zawołał Janek — to zupełna tęcza, tylko mniejsza już, nie pół okrągła jak ta, którą na niebie widzimy.

— A jakie kolory widzimy w tęczy? — spytała ciocia.

— Fioletkowy! — mówiła Mania.

— Czerwony! — dorzucił Janek.

— A czy innych kolorów już nie rozróżniacie? — pytała ciocia.

— Zielony — wyrzekł po namyśle Janek.

— Żółty — odezwała się Mania.

— I niebieski — skończyła po chwili.

— Ja widzę w tej tęczy jeszcze jeden kolor — zauważyła ciocia.

— Jaki ciociu, jaki? — pytały dzieci.

— Pomarańczowy.

Dzieci przyjrzały się kryształowi i także zauważyły pomiędzy barwą czerwoną i żółtą pasek pomarańczowy.

— A teraz niech mi Mania wyliczy wszystkie kolory tęczy po kolei, w takim porządku w jakim je tutaj widzimy, zaczynając od czerwonego — zaproponowała ciocia.

— Czerwony — zaczęła Mania — pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski i fioletowy.

— Bardzo dobrze Maniu. Jeżeli chcecie, powiem wam parę słów o tych barwach.

— Chcemy, prosimy!

— W tych sześciu barwach, które Mania wyliczyła, widzimy trzy kolory zasadnicze, i trzy dodatkowe, a wszystkie nazywamy razem barwami głównymi.

— Dla czego ciociu? — spytał Janek. — Ja tego dobrze nie rozumiem.

— Zaraz postaram się to wytłomaczyć — odrzekła



ciocia Różia. Z szuflady stolika wyjęła trzy krążki z tektury, na jednym z nich naklejone były paski czerwone i żółte, na drugim niebieskie i czerwone, a na trzecim żółte i niebieskie. Każdy z krążków miał w środku okrągły otwór; ciocia w otwór krążka czerwono-żółtego wsunęła ołówek i szybko obracać go zaczęła; zamiast dwóch kolorów dzieci ujrzały jedną barwę, pomarańczową na krążku.

— Ciociu, ciociu, zatrzymaj krążek! — wołał Janek — Już teraz nie widzimy wcale pasków czerwonych i żółtych i zdaje się nam, jak gdyby cały był pokryty barwą pomarańczową.

— Nic w tem niema dziwnego — odrzekła ciocia, bo czerwony z żółtym pomieszany daje właśnie taką barwę; gdy krążek szybko obracam, te dwa kolory tak prędko migają przed waszemi oczami, że już każdego z nich osobno nie rozróżniacie. A teraz, Janku, weź w rękę krążek żółto niebieski i obracaj nim szybko, cóż zobaczycie.

— Zielony kolor — zawołała Mania.

— Tak jest, niebieski z żółtym daje zielony kolor.

— A teraz ja spróbuję kręcić ten krążek niebiesko-czerwony — poprosiła Mania.

— I owszem.

— Kolor czerwony z niebieskim zmieszany daje kolor fioletowy — wołał Janek.

— Otóż, zauważcie, że kolory: pomarańczowy, zielony i fioletowy otrzymujemy łącząc z sobą kolory czerwony z żółtym, albo żółty z niebieskim, albo wreszcie niebieski z czerwonym. Te trzy więc barwy: czerwoną, żółtą i niebieską nazywamy zasadniczymi, albo pierwotnymi, a te, które wytwarza ich połączenie, dodatkowymi.

— Ciociu — odezwał się Janek — w tęczy mamy sześć kolorów tylko, ale na świecie jest jeszcze wiele, wiele innych barw, nieprawdaż?

— Wszystkie jednak przedmioty mają tylko odcień jednej z sześciu wymienionych barw. Innego dnia pomówimy jeszcze o barwach, na dzisiaj zapamiętajcie sobie sześć barw głównych.

— Bo lepiej — odezwała się Mania — jedną rzecz dokładnie zapamiętać, niż wiele byle jako się nauczyć.

— Prawda, moja rozsądna Maniu — zakończyła ciocia.

*Ciocia Różia.*

## ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Jaś przyszedł gdyśmy już prawie skończyli. Parobcy wymietli mnóstwo gałęzi i liści, które zostały od wieńców i zaczęli wnosić długie stoły i ławy. Jaś nie był w swoim zwykłym wesołym usposobieniu, stanął około drzwi i milcząc przyglądał się jak przybijaliśmy ostatnie S. w „Oatlands”. Żałował chyba, że nie zasiądzie razem z nami do wieczerzy i nie dostanie przysmaków, o których mu tylem mówiłem. Żał mi się go zrobiło i sta-

rałem się rozpędzić jego smutne myśli, opowiadając o długiej przechadzce którą mieliśmy razem odbyć w następnym tygodniu, ale on się ani trochę nie rozchmurzył.

— Możebyś zjadł parę jabłek? — zapytałem nakońiec — dziś właśnie zerwali najwcześniejsze i mogę ci ich przynieść skoro zechcesz.

— I owszem, jeżeli tylko są smaczne.

— A więc dobrze! — zawołałem, zeskakując z drabiny. — Julku, tych kilka gwoździ potrafisz wbić sam ja zaraz powrócę.

Znalazłem panią Blossom w ogrodzie i prosiłem żeby mi pozwoliła dać kilka jabłek biednemu Jasiowi.

— Mój chłopcze — odpowiedziała — nie pierwszy to raz Jaś Booth będzie jadł moje jabłka, chociaż mu je po raz pierwszy dobrowolnie daję. Zanieś mu, jeżeli ci to robi przyjemność. Masz tu jeszcze dla niego ciasteczko, widzisz, z jednej strony się przypaliło.

Mówiąc to, dała mi gorące ciastko z tacy, którą niosła w rękę. Jaś był bardzo kontent z jabłek i ciastka, zjadał je z apetytem podziwiając nasze wieńce, kiedy usłyszałem turkot wózka pana Blossom i wybiegłem na jego spotkanie.

Było już wpół do ósmej, słońce zaszło i mrok zapadał; dzierżawca był zmęczony całodzienną pracą, dał mi swój bicz do niesienia, a sam szedł powoli za mną. W kuchni tylko palił się ogień na kominie, ale ani pani Blossom, ani dziewczek nie było. Drzwi do salonu stały otworem i światło z kuchni padało na staroświecką komodę stojącą w kuchni, gdzie pan Blossom chował pieniądze i ważne papiery. Ta komoda zawsze robiła na mnie tajemnicze wrażenie: wierzch jej się podnosił i ukazywało się mnóstwo szufladek, schowanek i ukrytych zakamarków.

Dzierżawca wyjął duży skórzany worek z kieszeni płaszcza i rzucił go do jednej z szuflad, przyczem dał się słyszeć dźwięk jak gdyby pieniędzy. Potem spuścił wieko żeby zamknąć komodę, ale klucz nie obracał się w zamku.

— Czy tu żaden z was nie majstrował? — pytał dzierżawca zagniewanym głosem — bo ot, już mi ktoś zamek skręcił.

— Nie, ani Julek ani ja nie byliśmy dziś w tym pokoju.

— Trzeba zaraz naprawić, ale mniejsza już o to.

Chciałem jeszcze raz przed nocą zajrzeć do stodoły i wybiegłem na podwórze. We drzwiach natknąłem się na Jasia. Przeląknęłem się widząc go stojącego w ciemności.

— Co tu robisz? — zapytałem.

On dał mi znak ręką, żebym milczał i znikł za drzwiami tak nagle, że mi przypuszczałem, że mi się chyba przywidziało. Wkrótce to spotkanie wyleciało mi z głowy, bo do kuchni weszła pani Blossom i kazała podawać wieczerzę. Podczas gdy się ona krzątała, Julek i ja zaciągnęliśmy dzierżawcę do stodoły i kazaliśmy mu podziwiać nasze arcydzieła, chociaż co prawda w stodole było ciemno jak w kominie.

(d. c. n.)



SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze zaimek, pierwsze i trzecie*

Imię dziewczynki małej;

*Drugie rzeka, zaś wyraz utworzy cały*

Kraju, wyspy nazwanie,

Którą z łatwością pewno znajdziecie

Na Wielkim Oceanie.

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Marsa dla Bystrego konia.

Z następujących sylab: be — bra — bes — bis — ce — cya — da — dam — dan — e — er — dar — kin — i — ir — i — le — le — lan — me — nos — mu — ne — ne — nia — ne — nan — o — on — pi — por — pol — ro — ru — rum — rio — stor — tho — to — ta — we — york — zam — ze — zi — ze — ułożyć wyrazy, których znaczenie: 1. Miasto zwane królową mórz w średnich wiekach. 2. Warownia w starożytnej Messenii. 3. Miasto które dało początek wojnom peloponezskim. 4. Wyspa z grupy Moluckich. 5. Rzeka w Afryce. 6. Miasto w Portugalii. 7. Rzeka w Europie która tworzy wspaniałe jezioro. 8. Hrabstwo w Anglii. 9. Królestwo w Europie. 10. Jezioro w Ameryce pół. 11. Cieśnina w Europie. 12. Zwierzę z rzędu jednokopytnych. 13. Ptak czczony przez starożytnych Egipcyan. 14. Najstarszy wódz grecki w wojnie Trojańskiej. 15. Miasto w Chinach. 16. Miasto w Armenii. Początkowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, złożą nazwisko rzeczy, którą bardzo lubimy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14 go

Zagadki: Nietoperz.

*Lamigłówni kwadratowej:*

A P o k r z y w a  
 B P s z e n i c a  
 C K r z e m i e Ź  
 D N i e c z u ł y  
 E B r z e z i n a  
 F K o r a l o w y  
 G K w i c z o ł y  
 H G o r c z y c a

Skrzynka do listów.

W sprawozdaniu z konkursu kaligrafii między nagrodzone mi 2-go stopnia nagrodą, przez omyłkę opuszczono **Bcdziaczka stepowego**, która nie wielką, lecz starannie napisaną próbkę kaligrafii nadesłała.

Kochana **Bomba** może zmienić pseudonym, a nawet pomimo lat sędziwych należeć może do konkursu; ogłaszamy przeciw kon-

kursy dla starszerek! Jako najodpowiedniejszą z książek w żądanym rodzaju polecić możemy: „Przepisy pieczenia ciast” Szumlańskiej, które kosztują kop. 40.

Lamigłówkę nadesłaną przez **Kaz. Zar.** później przejrzymy; adres zmieniliśmy podług życzenia.

**Gałązce konwalii** posłałiśmy brakujące dodatki i prosimy ją o uważniejsze czytanie naszych odpowiedzi. Gałązka znajdzie w nich wiele razy powtarzaną odpowiedź na swoje pytanie.

**Felikswi, Stasi, Zygmsiowi, Mani, Zoni**, którzy wzięli do serca los ubogich dzieci i własnym trudem zebrane pieniądze przesłali nam na kolonie letnie, przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać.” Ze śmiercią dokt. Fritschego nie upadło dzieło miłosierdzia i w tym roku uboga dziatwa miejska odetchnie świeżym powietrzem, a temu więcej wycieńczonych brakiem powietrza istotek skorzysta z dobrodziejstwa wyjazdu, im więcej będzie tak pocziwych dzieci, jak kochana owa piąteczka. Niech ją Bóg błogosławi za jej złote serduszko.

Śliczny masz zamiar, **Prawdo**, i do spełnienia go dopomagamy ci jaknajchętniej. Z przysłanych rs. 5-ciu, „Świat roślinny” kosztuje rs. 1 kop. 50, Metoda języka angielskiego kop. 75, niemieckiego kop. 60, przesyłka kop. 35; razem rs. 3 kop. 20, pozostało u nas rs. 1 kop. 80. Przesyłamy ci uścisk serdeczny.

**Kret z Now.** nadesłał dobre rozwiązanie.

Wiecie, moje drogie, że zaczynam być dumną z powodzenia jakie mam u was; coraz więcej odbieram liścików! Są od rówieśniczek, są od małych, są nawet i od starszych, jednym słowem **Jaskółka** zyskała łaski wasze i bardzo ją to cieszy. **Marzycielkę** zachwyciła moja odezwa, a nawet ów figiel przed laty wypłatany Gołąbce, do którego się przyznawałam ze wstydem, nie zraził do mnie **Fatymy**. Wdzięczna jej jestem za to, bo co prawda można się było zdobyć na dowcipniejszy figiel! Skoro mię tak chętnie obdarzacie liścikami, proszę więc, przyjmijcie do wiadomości wszystkie ile was jest, że do każdej pisywać nie tylko „zechcę,” ale chcę. „Jak wyglądam, jak się zowie — nikt się odemnie nie dowie,” jak od tego chłopczyka z bajeczki, co szedł ogląda panoramę i nie doszedł (pocziwy chłopaczek!) — ale zresztą gotowa jestem zawsze na usługi wasze. Zaraz daję tego dowód **Niezapominajce z nad Warty**: nuty przez nią żądane kosztować będą 60 kop. wraz z przesyłką. Ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, nie ja chodziłam dowiadywać się o nie; załatwiła to Gołąbka razem ze swoimi interesami, których ma zawsze pełno. Ja ranki mam zajęte nauką, jak ty, **Marzycielko**; musisz się dobrze uczyć, kiedy już jesteś w 4-tej klasie? To dobrze że całem sercem jesteś taką jak ja; polubimy się prędko. Ja także czytać lubię, czasu tylko mam mało. Tobie widać o niego łatwiej, skoro należysz do konkursu? I owszem pisz, przysyłaj wypracowanie, tylko nie oddawaj go pod moją opiekę, jak to czyni **Brunetka**, bo moja opieka a nic, to jedno. Dobra wola zaś nie zastąpi opieki, ale ty jej chyba nie potrzebujesz, **Brunetko**, skoro już raz wzięłaś nagrodę na konkursie? Z wielką tylko uroczystością i powagą wręczyłam redakcyi kaligrafie **Doktorka** i **Pocieszki rodziców**, która nie wiem dla czego nazywa mię **Jaskółką**, kiedy ja jestem ó, najwyraźniej o kreskowane. Za nic w świecie nie odstąpię od tego. To trudno, każdy ma swoją ambycję! A wiesz, **Pocieszko**, że ja znam **Świątelko**? Znam także i **Amatę**, i jej brata, i miasteczko w którym mieszkacie, i pensyą p. S., i o was wiele słyszałam; nigdybyście nie zgadli od kogo. Wyobrażam sobie jak was to zaciekaw! To także figiel swego rodzaju, nie straciłam bowiem upodobania do nich.

Całuję was serdecznie; pisujcie do mnie często, Już to my obie szczęśliwsze jesteśmy od **Józia**, na którego panowie koledzy jakoś nie łaskawi. Wpada czasem do redakcyi jak bomba: „Niema listów do mnie?” pyta. „Skądżeby?” odpowiedziała mu raz bez żadnej ironii roznosielielka naszego pisemka, ale **Józio** wziął to za złośliwość. Nic mu nie powiem, która to z panienek „kłania mu się nisko,” bo naturalnie poznały się, że to żart i miały do niej pretensyą, że ubliża jego powadze. O tę powagę taki dbały! daleko więcej niż o swoje rzeczy. Żegnaj was już teraz naprawdę.

*Jaskółka.*